NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 18 grudnia 1920. Nr 51.

Rosya przeciw swym tyranom



Ostatni nieudały zamach na Lenina, dokonany w Moskwie w ubiegłym tygodniu.

Rosya przeciw swym tyranom.

(Do illustracyi tytułowej).

Rządy obecnych czerwonych carów rosyjskich dały się ludności jeszcze bardziej we znaki, niż poprzednio, kiedy to, w imieniu „białego cara“ i na jego odpowiedzialność cała masa czynowników rozmaitej kategoryi starała się przy pomocy szubienicy i knuta wpoić w ciemne rzesze przeświadczenie, że obowiązkiem ich jest ślepa uległość i posłuszeństwo wobec rozkazów pomazańca Bożego.

A ten samodzierżca Wszech Rosyi, pan większej części Europy i Azyi trząsł się tymczasem ze strachu na swym tronie i podpisywał skwapliwie wyroki śmierci, gdyż zausznicy potrafili w niego wmówić, że tylko w ten sposób zdoła podtrzymać powagę i znaczenie wszechrosyjskiego imperyum.

Tego rodzaju rządy musiały też wywołać niezadowolenie ogółu, a objawami ich były częste zamachy na osobę carską i próby wywołania rewolucyi, topione w morzu krwi.

Ale nadeszła wojna światowa, tron carów runął, a na gruzach byłego samodzierżawia powstała republika ludowa, mająca uciemiężonemu krajowi przynieść wolność, a ludności prawa obywatelskie.

Republika sowietów, w której proletaryat ujął ster rządów w swe ręce, kazała się spodziewać, że kraj i ludność, pozbywszy się czynowniczej zgrai, odetchnie i zacznie żyć nowem życiem, życiem człowieka, mającego swą własną wolę.

Niestety!... Pokazało się, że zmieniła się tylko forma rządów, a nie metody, jakie przedtem dla ich utrwalenia stosowano. Szubienica i knut znalazły jeszcze szersze zastosowanie, wywołując w najbardziej nawet obojętnych i zrezygnowanych jednostkach objawy niezadowolenia. Oszukano lud, dając mu, zamiast wolności, jeszcze sroższą niż poprzednio tyranię.

To też gnębione masy występują coraz jawniej przeciw swym ciemięzcom, a ci, starym carskim systemem, każdy objaw sprzeciwu swej nieograniczonej woli ...topią w morzu krwi.

Niezadowolenie wśród szerokich mas rośnie zatem z dnia na dzień, a ostrze jego zwraca się przeciw tym, którzy władzę zagarnęli w swe ręce. Niema poprostu tygodnia, aby telegramy nie donosiły o wybuchu, w którem mieście antibolszewickiej rewolucyi, a zamachy na „czerwonych carów“, Lenina i Trockiego, są na porządku dziennym.

Niema tygodnia, jak Lenin tylko cudem uratował się od śmierci z rąk osobnika, który w przebraniu służącego dostał się do jego gabinetu, a już telegramy londyńskie donoszą o nowym zamachu, z którego również wyszedł szczęśliwie.

Przebieg jego, według telegramów, przedstawia się, jak następuje:

Już na kilka dni przed zamachem wybuchły zamieszki w czterech pułkach czerwonogwardzistów. Co chwila ukazywały się na murach plakaty rewolucyjne, oraz odbywano wciąż wielkie zgromadzenia pod gołem niebem.



Rostanda „Orlątko“ na krakowskiej scenie: Scena pierwszego aktu. Powitanie kuzyna przez małe arcyksiężniczki.

Samochód Lenina wyjechał właśnie z Kremla, gdy nagle za pojazdem Lenina ukazało się czyjeś wielkie, otwarte auto. Jedna z osób siedzących wydobyła rewolwer i strzeliła w stronę moskiewskiego dyktatora. Kula przebiła drewniane części samochodu, nie trafiając Lenina.

Sprawca zamachu, już przedtem wysłał do Lenina ostrzeżenie, że prędzej lub później będzie zamordowany. List ten kończył się następującemi słowy: „W dniach minionych zabijaliśmy tyranów, zwanych carami. Teraz mamy wszelki powód do tego, ażeby tę metodę stosować nadal także wtedy, jeżeli dyktator udaje socyalistę“.



Rostanda „Orlątko“ na krakowskiej scenie: Końcowa scena pierwszego aktu. Fanny (Hańska) i „Orlątko“ (Białkowski).

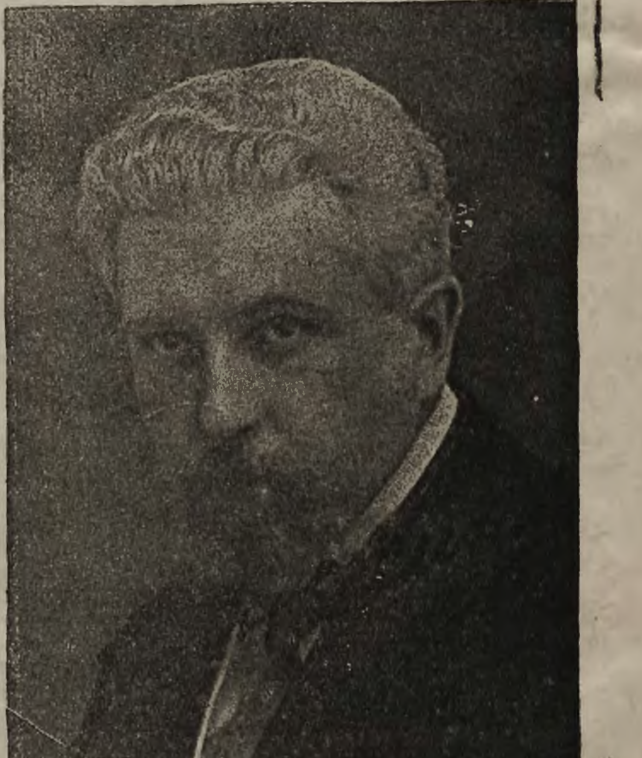
Ustąpienie kierownika ministerstwa Kultury i Sztuki.

Według telegramów warszawskich, wniósł na ręce prezesa gabinetu podanie o zwolnienie z dotychczas zajmowanego urzędu kierownik ministerstwa Kultury i Sztuki, wiceminister p. Jan Heurich.

Ustąpienie p. Heuricha nie stoi w żadnym związku przyczynowym z niedawnym przesileniem gabinetowem. Do powzięcia tego kroku skłoniły go rozmaitej natury trudności, uniemożliwiające normalny tok prowadzenia agend przydzielonego mu zakresu działania, w pierwszym rzędzie stała opozycya b. ministra skarbu przeciw kredytom na cele kultury i sztuki. W tych warunkach minister mimo najszczerszych swych chęci z poruczonego mu zadania wywiązać się nie może, a pieniądze wydane na utrzymanie ministerstwa, które zadań swych spełniać nie może, idą właściwie na marne.

Oszczędności ministra skarbu dziwić się nie można. W obecnych warunkach liczyć się musi z każdym groszem, a tyle jest naglących potrzeb, wymagających natychmiastowego załatwienia, że wydatki na cele kultury i sztuki muszą czekać lepszych czasów. Wogóle kreowanie osobnego ministerstwa dla kultury i sztuki obciążyło niepotrzebnie budżet państwowy, sprawy bowiem tego resortu mogłaby śmiało załatwiać sekcya ministerstwa Wyznań i Oświecenia, pieniądze zaś zaoszczędzone w ten sposób, możnaby obrócić na pokrycie najbardziej niecierpiących zwłoki wydatków w zakresie kultury i sztuki, o co bezskutecznie zabiegał dotychczasowy wiceminister.

Wiceminister Heurich dał się poznać w ciągu swojego urzędowania jako wybitny znawca stosunków w zakresie kultury i sztuki, której był gorliwym i szczerym opiekunem. Jeśli nie zdziałał tyle, ile mógł i pragnął, to nie jego wina, ale warunków, w jakich musiał pracować.



Ustąpienie kierownika ministerstwa Kultury i Sztuki: Wiceminister Jan Heurich, dotychczasowy kierownik ministerstwa Kultury i Sztuki.

Rostanda „Orlątko“ na krakowskiej scenie.

Stanowisko kierownika krakowskiej sceny miejskiej nie jest bynajmniej do pozazdroszczenia. Z jednej strony ma on ręce związane przez Komisyę teatralną, w skład której wchodzą często ludzie, o prawdziwej sztuce pojęcia nie mający, a chcący gwałtem uchodzić za jej znawców, z drugiej musi



Rostanda „Orlątko“ na krakowskiej scenie: Smierć księcia Reichstadu. Scena ostatnia w VI-ym akcie.

się liczyć z wymaganiami publiczności, a w dodatku przygotowanym być na zarzuty, że teatr miastu nie przynosi dochodów.

Co do tego ostatniego punktu, to Kraków, choć nosi tytuł „stołecznego miasta“, trąci jeszcze bardzo prowincyą. Nawet w samej radzie miejskiej można się spotkać z głosami, że raczej teatr zamknąć, niż pokrywać jego deficyty, gdy podobne prywatne przedsiębiorstwa przynoszą właścicielom bardzo piękne dochody.

I mają racyę ci, którzy wychodzą z tego założenia. Nic łatwiejszego, jak zestawić repertuar „robiący kasę“, ale wówczas trzeba będzie z frontonu teatru usunąć napis: „Kraków — narodowej sztuce“, a z nazwiska wykreślić słowa „imienia Słowackiego“.

Teatr, o ile ma być świątynią Sztuki i placówką kultury, nie może być traktowany jako przedsiębiorstwo dochodowe, owszem, musi się być przygotowanym na wydatki, jeśli ma odpowiadać celowi, to jest nie tylko bawić, lecz i uczyć. Jeżeli teatr ma poważnie spełniać swe zadanie, na dochody oglądać się nie może. Widzieliśmy to za czasów ś. p. Pawlikowskiego, który scenę naszą prowadził ze znawstwem i pietyzmem dla Sztuki, ale też poświęcić musiał na to lwią część swego prywatnego majątku.

Publiczność teatralna ma swą psychikę i tę musi w pierwszym rzędzie uwzględnić kierownik sceny, jeżeli chce zdobyć efekt moralny i materyalny. Jednych nęci treść, drugim podoba się wystawa, a rzadko można natrafić na utwór łączący w sobie oba te przymioty, mogący zatem i znaleść ogólne uznanie i, co u nas najważniejsze, „zrobić kasę“. A nie trzeba także zapominać, że w obecnych warunkach musi się walczyć i z trudnościami finansowemi, jakie za sobą pociąga wystawienie każdej nowej sztuki.

I szczęśliwą miał rękę, przyznać trzeba, kierownik naszej miejskiej sceny, wybierając na ostatnią premierę „Orlątko“ Rostanda.

I treść i wykonanie i wystawa, może zadowolić najdalej posunięte wymagania, sztuka ta ma też zapewnione powodzenie na czas dłuższy.

Krytyka przyjęła ją nader życzliwie, publiczność z entuzyazmem.

Ze sprawozdań z premiery wybieramy zamieszczone w *Nowej Reformie* przez W. Prokescha, jako najkrótsze, lecz w niewielu słowach najwięcej mówiące.

W. Prokesch pisze:

W zapełnionej po brzegi widowni przesunął się wczoraj przed oczyma publiczności oczekiwany oddawna i z niezwykłą okazałością wystawiony dramat romantyczny Rostanda i odniósł jeden z tych sukcesów, które kroniki sceny im. Słowackiego zapiszą, jako jeden z najświetniejszych popisów teatru naszego, nawiązujących nić najlepszych jego tradycyj.

Ujrzeliśmy widowisko, w którem część ekspozycyjna zlewa się w niesłychanie barwną i żywą całość o wysokich teatralnych walorach ze stroną wykonawczą, w której zespół artystów wykonawców stanął w pełni na wysokości zadania, zdobywając w osobach kilku głównych przedstawicieli zaszczytne uznanie i w pełni zasłużoną pochwałę.

Spóźniona pora — gdyż premiera skończyła się kwadrans po północy — nie pozwala na szersze omówienie chwalebnego wysiłku poszczególnych wykonawców, zaznaczę tylko, że zgodnie z intencyą sztuki i autora dominowała na tle akcyi przepiękna kreacya młodocianego księcia Reichstadu w grze p. Białkowskiego. Połączenie pierwiastka bohaterskiego z chorobliwym sentymentem miało cechę artystycznego stonowania w technice i utrzymane było na jednolitej linii. Nastrojowa scena na polu bitwy pod Wagram była szczerze odczutą, a akt końcowy, przedstawiony z głębokim sentymentem, osiągnął pełne wrażenie. P. Białkowskiemu roli tej, która jest znacznem posunięciem w jego karyerze artystycznej szczerze powinszować można.

Obok p. Białkowskiego z tła zespołu wyłoniła się wyrazista rola sierżanta Flambeau, grana przez p. Guttnera z dosadną siłą charakterystyki i głębszym akcentem bólu i sentymentu.

Prześliczne dekoracye pędzla p. Wierciaka, przedstawiające salę w Schoenbrunnie z widokiem na glorietę, park zamkowy ze sztucznemi ruinami i pole bitwy pod Wagram, stworzyły barwne tło dla efektownej akcyi dramatu. Kostiumy i stroje należały do najświeższych, jakich od czasu słynnej „Madame sans gene“ nie oglądaliśmy na naszej scenie.

Z angielskiego dworu.

O ile przed wojną wszystkie pisma obrazkowe przepełnione były poprostu rycinami, przedstawiającemi poszczególnych władców i ich bliższe i dalsze rodziny w rozmaitych pozach, o tyle po wojnie coraz rzadziej spotykamy się z czemś podobnem, już choćby tylko z tego względu, że ci, którzy się w ten sposób reklamowali, są „na emeryturze“.

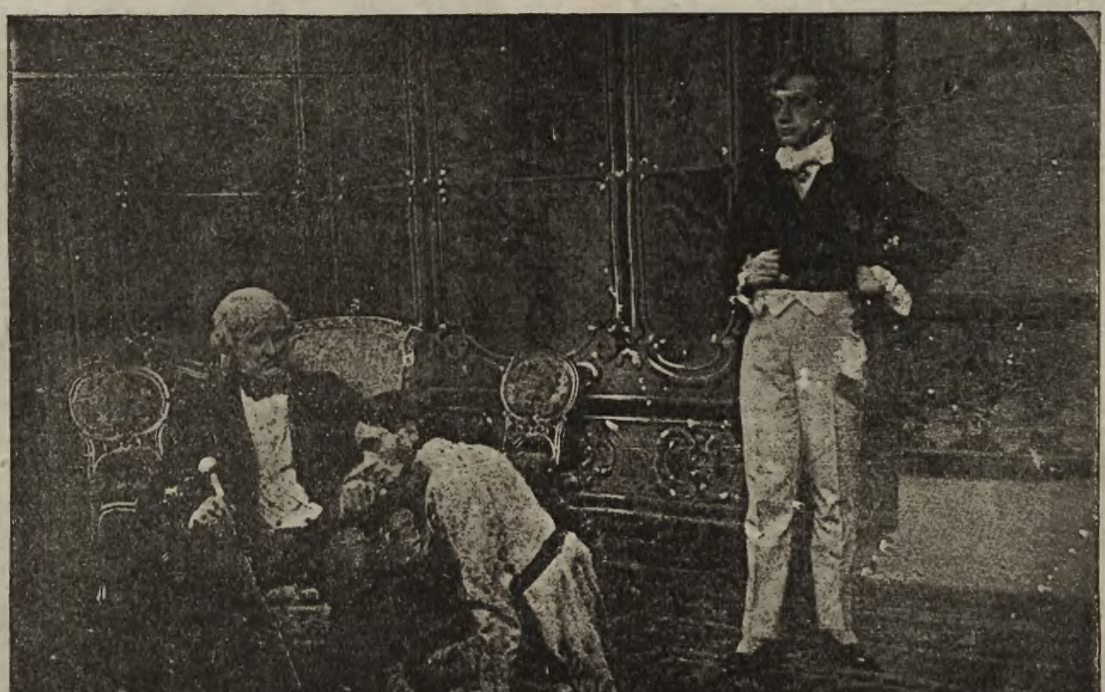
Spadły korony władców, i to właśnie w krajach, w których idee monarchizmu zdawały się być najsilniej zakorzenione, gdy natomiast w kraju tak domokratycznie usposobionym jak Anglia, korona królewska nic ze swego blasku nie straciła. Być może, stało się to i dlatego, że go nigdy zbyt wiele nie miała. W każdym razie musi się stwierdzić, że nie spotkaliśmy się dotąd ani razu z wiadomością, jakoby społeczeństwo angielskie okazywało republikańskie dążności.

Łatwo to sobie wytłómaczyć, jeśli się zważy, jaki w Anglii panuje stosunek między królem a narodem. Król jest wprawdzie królem, otwiera nawet parlament mową tronową, do rządu przecież się nie miesza, zostawiając to ministrom, a z pewnością sport zajmuje go więcej, niż najważniejsze zagadnienia natury politycznej. Na tym punkcie podziela on upodobania narodu angielskiego i to go do niego zbliża, wyrabiając obopólną sympatyę i zaufanie.

Jest zatem król angielski takim samym obywatelem Zjednoczonego Królestwa jak każdy zwykły śmiertelnik, korona zaś nie oddziela go od tłumu, ale raczej z nim łączy.

Królowa cieszy się też ogólną sympatyą, oddając się całem sercem dziełom chrześcijańskiego miłosierdzia, zaś „okiem w głowie“ całego narodu jest książę Walii, mający kiedyś zająć tron swych przodków. *Good save the King*... śpiewają z równem uniesieniem przedstawiciele wszystkich politycznych stronnictw, z wyjątkiem naturalnie Irlandczyków.

Ilustracya nasza przedstawia królowę angielską, odwiedzającą chorych w jednym z londyńskich szpitali „Czerwonego Krzyża“.



Rostanda „Orlątko“ na krakowskiej scenie: Scena trzeciego aktu. Cesarz Franciszek (Jednowski), „Orlątko“ (Białkowski), Metternich (Nowakowski).

Zawiązki polskiej floty.

Z chwilą, kiedy uzyskaliśmy samodzielność polityczną i bezpośredni dostęp do morza, choć z woli naszych opiekunów ...bez portu, zaczęto myśleć także i o utworzeniu polskiej floty, tak wojennej, jak i handlowej.

Praca to niezbyt łatwa, trzeba ją bowiem było rozpoczynać od samych podstaw, w warunkach bardzo niekorzystnych.

Dzięki usilnym staraniom i umiejętnemu pokierowaniu sprawy, pierwsze początki już szczęśliwie zrobione. Mamy już zawiązek polskiej floty wojennej, dzięki przydziałowi pewnej liczby okrętów, skonfiskowanych Niemcom, tworzy się marynarka handlowa, założono szkołę morską.

To wszystko dzieje się w kraju, ale i poza jego granicami nie brak usiłowań w tym kierunku, jak się o tem dowiadujemy z odezwy „Towarzystwa polskiej żeglugi morskiej" w Ameryce, ogłoszonej niedawno w tamtejszych pismach.

Towarzystwo to, jak świadczy treść odezwy, na seryo zajęło się sprawą utworzenia połączenia między Ameryką a Europą przy pomocy polskich statków, płynących pod polską banderą, a pierwszym z nich, mającym w grudniu przybyć do Nowego Jorku i rozpocząć stały kurs między starym a nowym światem, jest parowiec pasażerski „Polonia", drugim zaś, będącym na ukończeniu, będzie „Józef Piłsudski".

Polonia amerykańska brała zawsze żywy udział w życiu narodowem i szczerze interesowała się rozwojem wypadków w kraju macierzystym. Wyprzedziła nas w tym kierunku, ale temu i dziwić się nie można. Amerykańscy Polacy są daleko lepiej materyalnie od nas sytuowani, znajdują się też w pomyślniejszych politycznych warunkach, niż my, choć stanowimy już samodzielny organizm polityczny, mogą zatem więcej i czasu i funduszów poświęcić sprawie utworzenia polskiej floty. My musimy najpierw uporządkować nasze wewnętrzne stosunki, a to, niestety, bardzo idzie oporem. W każdym razie stwierdzić się musi, że i w kraju, jak na nasze słabe siły, zrobiliśmy w kierunku powołania do życia polskiej floty, ile się dało.

Treść odezwy „Towarzystwa polskiej żeglugi morskiej" w Ameryce, podpisanej przez jej dyrektora, doktora Spryszyńskiego, jest następująca:

„Z chwilą, kiedy Tow. Polskiej Żeglugi Morskiej, 1777 Broadway, New York zostało utwierdzone potężnie i stale przez lud polski, który o własnych siłach, przy pomocy obcych kapitałów, a mimo wszelkie trudności nastawiane nam przez obce żywioły, podniosło się i cieszy się ogólnem poparciem Polonii na Wychodźtwie, zawiadamiam wszystkich akcyonaryuszy Tow. P. Ż. M. w Buffalo i okolicy, że nasze towarzystwo zakupiło pierwszy, prawdziwie czysto polski okręt pasażerski „Polonia" dnia 1 listopada, 1920, drugi zaś okręt pasażerski niebawem wypłynie na dalekie morze pod nazwą naszego sławnego naczelnika „Józef Piłsudski".

Okręt „Polonia" przybędzie do New Yorku w grudniu, ale już pod polską flagą. Ci, którzy interesują się naszem wielkiem dziełem ludowem, ci którzy chcą wyjechać z kraju, albo nawet pracować przy okrętach, niech się udają z całem zaufaniem do mnie, a wszelka rada i informacya będzie daną zupełnie darmo, bo Tow. Polskiej Żeglugi Morskiej jest z ludu i dla ludu polskiego.

Biuro Tow. Pol. Żeg. Mor. w Buffalo i okolicy mieści się pn. 222 Stanislaus ul., która to posiadłość jest własnością Towarzystwa".



Restauda „Orlątko" na krakowskiej scenie: Dekoracya (pędzla Wierciaka) do aktu czwartego (bal).

Chór żołnierzy inwalidów
w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 9).

Niejednokrotnie już podnosiliśmy w naszem piśmie różnicę, jaką spostrzega się na pierwszy rzut oka w traktowaniu żołnierza w byłej armii austryackiej a polskiej. Każdy nieuprzedzony, choćby nawet i były austryacki wojskowy, musi przyznać, że system, stosowany w naszej armii, ma dał leko więcej racyi bytu, niż austryacki, który chciał z żołnierza zrobić istotę, oddzieloną chińskim murem od reszty społeczeństwa, ale także, niestety, od swych własnych przełożonych. Austryacki żołnierz nie mógł do swego przełożonego nabrać zaufania, rozkazy jego spełniał, ale bezmyślnie. Między oficerem, najczęściej obcej narodowości, a zahukanym przezeń podwładnym, nie mogło się wytworzyć to serdeczne współżycie, jakie panować powinno między towarzyszami broni, bez względu na stanowisko, jakie zajmują w wojskowej hierarchii.

Na kulturalne potrzeby żołnierza nie zważano zupełnie, spoglądano nieufnie nawet na uczenie czytania i pisania analfabetów przez T. S. L., bojąc się, by to nie wpłynęło ujemnie na ich c. i k. lojalność i „rycerskiego ducha", dla którego jedynem polem do rozwoju było podwórze koszar, a w niedzielę popołudniu jakaś obskurna knajpa.

Zupełnie inne metody stosuje się w armii polskiej, której członkowie uważają się za jedną rodzinę, a przełożeni dbają nietylko o militarne wyszkolenie żołnierza, ale i o zaspokojenie jego potrzeb kulturalnych, co nie tylko nie osłabia wojskowego ducha, owszem, nawet go wzmacnia.

Inteligentny żołnierz spełnia zupełnie inaczej rozkazy swych przełożonych, niż bezmyślny manekin, jakim się stawał austyacki rekrut.

Jednem z takich ognisk kulturalnych jest „Chór wojskowy inwalidów", założony w Krakowie dzięki staraniom znanej filantropki, p. Ludwiki Grodzickiej, w porozumieniu z Komendą wojskową. Kierownikiem Chóru jest rutynowany nauczyciel śpiewu i kompozytor p. Konior.

Działalność chóru, dzięki usilnym zabiegom kierownictwa, rozwija się coraz pomyślniej, żołnierze inwalidzi znajdują tu nie tylko miłą rozrywkę i pożyteczne spędzenie wolnego czasu, zyskują nadto sposobność uczciwego zapracowania na kawałek chleba, zespół jest bowiem tak artystycznie wyszkolony, iż śmiało brać może udział w publicznych popisach. Żołnierze inwalidzi garną się też bardzo chętnie do nowej instytucyi, której i zarząd wojskowy nie szczędzi odpowiedniego poparcia.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.



Zawiązki polskiej floty: Dr Stefan Spryszyński, dyr. Tow. pols. żeglugi morskiej w Ameryce, znany działacz na polu narodowem w Buffalo.



Z angielskiego dworu: Królowa angielska odwiedza chorych w jednym z londyńskich szpitali „Czerwonego Krzyża".

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

28 I.

— Złudzenie! złudzenie zmysłów! — zawołał Henner, który powoli otrząsał się z przybicia, jakie nim owładnęło.

— Nie! Widziałam ją i słyszałam! I nie tylko raz jeden. Za każdym razem, w którym zadawałeś mi tortury nie do zniesienia, mówiąc mi o swojej miłości, ona przychodziła. Ona mnie kocha Markusie Henner, a ciebie nienawidzi!

— Mówisz w gorączce! Rachelo! — krzyknął mistrz, nie mogąc już zapanować nad wzruszeniem.

— A choćby! Sen może także być źródłem nienawiści, miłości i życia! I zawsze, zawsze, wymieniała mi Jezusa, tak, jakgdyby On był jedynem schronieniem, jedyną ochroną dla mnie przed tobą Markusie!

— Oh! Boże mój — jęknął Mojżesz Kabib.

— Nie wzdychaj, nie jęcz, mój ojcze! — zwróciła się Rachela do ojca. To, co musi być, stanie się!

— To podstępna machinacya chrześcian! - zawołał Markus Henner.

— Nie! Nikt mi o tem nigdy nie mówił, nawet Ranieri Lambertini. Zrozumiałam to w kościele.

— W kościele! — krzyknął Mojżesz Kabib.

— Tak. Od dnia, w którym matka moja powiedziała mi o Chrystusie, zaczęłam chodzić do kościoła.

— Często?

— Ciągle. Za każdym razem jak tylko wyjść mogłam, jak tylko ujść mogłam przed waszą czujnością, szłam tam w towarzystwie Róży.

— Wypędzę Różę!

— To niepotrzebne, mój ojcze. Ona nie uczyniła nic złego, ja ją zmuszałam, by mi towarzyszyła. Chodziłam po małych i dużych kościołach Rzymu, znam je już wszystkie i we wszystkich modliłam się...

— To straszne! — jęknął Mojżesz Kabib, wznosząc ręce do góry, jakgdyby chciał przekląć kogoś, lub wezwać pomocy niebios.

— Jesteś renegatka! zdrajczynią! — wyrzekł głucho Markus Henner, patrząc uparcie na młodą dziewczynę.

- Ujrzałam po raz pierwszy Lambertini'ego w kościele Panny Maryi Świętej. On się modlił, ja również modliłam się. Spojrzeliśmy na siebie i pokochali gorąco. Co dalej... wiecie już sami.

— I co ty czynić zamierzasz? — zapytał stary Mojżesz córki.

— Stać się chrześcijanką i zaślubić Lambertini'ego, człowieka, którego kocham — wyrzekła spokojnie.

— Niepozwolę na to! — krzyknął stary.

— Nie zdołasz tego uczynić, ojcze!

— Jestem twoim ojcem: prawa hebrajskie są jasne. Winnaś mi posłuszeństwo.

— Ja nie uznaję już prawa hebrajskiego.

— Narzucę ci je! Rabin cię do tego zmusi!

— Oddam się pod opiekę władz włoskich!

— Nędznico! Nędznico!

Tymczasem Markus Henner milczał, nie wdając się w rozmowę ojca i córki, nie spuszczał tylko wzroku z Racheli.

— Jesteś małoletnią, nie możesz wyjść za mąż bez mojego pozwolenia — oświadczył surowo stary Mojżesz.

— Być może! Ale zaczekam do pełnoletności mojej, lub też prawo nada mi jaki sposób. Nie potraficie mi zabronić zostać chrześcianką.

— Zamknę cię w domu!

— To ucieknę! Pójdę do księży, do papieża!

— Wyjedziemy więc stąd! — zawołał starzec w ostatecznej rozpaczy — wyjedziemy gdzieś daleko.

— Gdziekolwiek pójdę, będę chrześcianką w duszy!

— Rachelo! opamiętaj się, to szaleństwo!

— Matka kazała mi tak uczynić!

— To był sen!

— Nie! To była rzeczywistość — odparła tajemniczo młoda dziewczyna.

— Widzenia twoje wprowadziły cię samą w zasądzkę!

— Mam dowody bytności mojej matki w tym domu — oświadczyła energicznie Rachela.

— Jesteś nieprzytomna! — wzruszył ramionami stary Mojżesz.

— Powtarzam ci ojcze, mam dowody!

— Jakie?

— Nie wyjawię ci ich!

— Rachelo!

— Chcę cię oszczędzić ojcze, zadrżałbyś, gdybym ci chciała powiedzieć!

— Mów! — uniósł się Mojżesz Kabib — mów zaraz, skoro już ośmieliłaś się powiedzieć tyle!

— A więc dobrze, skoro sam tego żądasz ojcze. Ostatni raz widziałam matkę dwadzieścia dni temu.

— Dwadzieścia dni — powtórzył stary, słuchając pilnie.

— Tak, siedziała przy mojem łóżku i patrzała na mnie długo. Oczy jej były smutne i takie łagodne. W końcu powiedziała mi: „walcz, walcz, a zwyciężysz potwora!" Słuchałam jej, nie mogąc we śnie ani mówić, ani się poruszyć! Położyła więc lekko rękę na mojem ramieniu i ścisnęła je nieznacznie, dodając jeszcze: „Daję ci broń, posłuż się nią!" I zaraz potem znikła.

— Broń! broń! — powtórzył Mojżesz Kabib, drżąc jak listek.

— Mały krucyfiks.

— To sen! to sen! — szepnął Markus Henner, przerywając swoje głębokie milczenie.

— Oto jest! — rzekła z prostotą Rachela.

I rozchyliwszy stanik pod szyją, wyciągnęła sznurek z czarnego jedwabiu, na którym wisiał nieduży krzyżyk.

Obydwaj mężczyźni, zgnębieni, przybici, nie śmieli nawet rzucić na niego spojrzeniem.

— Ona „naprawdę" przyszła do mnie — wyrzekła cicho Rachela, całując pobożnie krzyżyk. — Wierz mi ojcze, zadrżałam dziwnym jakimś lękiem, kiedy rano budząc się, znalazłam ten przedmiot w mojej ręce. Ona tu była! Ona żyje!



I rozchyliwszy stanik pod szyją, wyciągnęła sznurek z czarnego jedwabiu, na którym wisiał miedziany krzyżyk.

Umilkła, zatapiając się w ekstatycznem rozmyślaniu.

Stary Mojżesz i Markus milczeli, tylko Markus jeszcze przenikliwiej spojrzał na młodą dziewczynę, badając wyraz jej twarzy, jakgdyby szukając w niej zmiany jakiej.

Ale nie! Twarz Racheli spokojna była i skupiona jak zawsze. Hypnotyzujące jego spojrzenie pozostawało bez śladu na niej.

— Oszukałeś mnie ojcze! — wyrzekła po chwili Rachela smutnym głosem.

— Ja? Ja?

— Tak, ty ojcze. Ty wiesz, że moja matka żyje, a mówiłeś mi zawsze, że dawno umarła. Dlaczego więc znajduję się sama w tym domu? Gdzie ona jest? Kto mnie pozbawił jej widoku i pieszczot? Coś ty z nią zrobił ojcze? — zawołała, powstając i wyciągając ręce błagalnie do ojca.

— Ja? Ja? — raz jeszcze powtórzył stary Mojżesz machinalnie.

— Tak, tak, ty ojcze! Słowa twoje były zawsze takie niejasne! To, co mówisz, jest takie tajemnicze! Powiedz mi, gdzie ona jest? Co robi? Dlaczego odsunąłeś ją odemnie? Ona by mnie obroniła przed tym człowiekiem!

— Rachelo! zabijasz mnie! — jęknął stary, opadając bezsilnie na krzesło.

— A ty ojcze, czy nie zabiłeś mojej matki? Czy nie uczyniłeś jej jakiej krzywdy? Ja o tem nic nie wiem! Broń się teraz, broń, jeżeli jesteś niewinny! zawołała Rachela rozkazującym głosem.

— Rachelo! Rachelo! Bóg karze krnąbrne dzieci — wyszeptał stary głosem, przepojonym bólem.

— Matka moja! Matka moja! Mów mi o niej, ojcze!

— Kochałem ją tak, jak kocham ciebie!

— A chcesz mnie oddać temu człowiekowi

Mojżesz pochylił głowę. Błysk nagły rozświetlił twarz Racheli. Zwróciła się gwałtownie do garbusa.

— Ty wiesz Markusie, gdzie jest moja matka - rzuciła mu w twarz.

— Nie! — odrzekł Markus, cofając się.

— Wiesz! wiesz! Powiedz mi, słyszysz!

— Niewiem. Nie znałem jej nigdy, nie znam jej — wyszeptał po raz pierwszy, spuszczając bezradnie oczy przed młodą dziewczyną.

— Przysięgnij mi!

— Przysięgam!

— Przysięgnij na Boga! Na twojego Boga! — zawołała z mocą.

— Markus Henner milczał.

— Ojcze! ojcze! on wie on wie wszystko — jęknęła rozpaczliwie.

— Nie! Nie! Rachelo!

— On wie, ojcze, to człowiek nikczemny okrutny!

— Nie, Rachelo!

— Przysięgnij, przysięgnij na twojego Boga!

Mojżesz Kabib opuścił głowę w milczeniu. Zaległa cisza, nabrzmiała grozą.

— Wychodź stąd, Markusie Henner! Wychodź stąd! — rzuciła Rachela przez zaciśnięte zęby.

— Wypędzasz mnie, Rachelo? — zapytał mistrz, zagryzając wargi aż do krwi.

— Tak! wypędzam cię! Jesteś niedobrym, fałszywym człowiekiem! Wychodź stąd, wychodź!

— Rachelo! — błagał ojciec.

— Precz stąd! precz! — krzyknęła, popychając garbusa ku drzwiom.

— Strzeż się Rachelo! — odezwał się Markus Henner, oszalały z gniewu.

— Nie lękam się ciebie! Precz stąd!

— Ranieri Lambertini umrze!

— Nie! Precz stąd!

— A ty będziesz moja!

— Oh! nigdy, nigdy — precz stąd, precz, podłe stworzenie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

I.

Serce jej biło mocno, kiedy dochodziła do fabryki. Z wujem nie widziała się już kilka miesięcy i nie wiedziała, czy niechęć, jaką czuł do jej rodziców, nie przeniosła się także po części i na nią.

Nieśmiałym głosem poprosiła przechodzącego robotnika o wywołanie go z warsztatów.

— Ah! to ty Stasia — wyrzekł Grodzicki, ujrzawszy ją. — Przypomniałaś sobie nareszcie o wujku. Ano, niema czemu się dziwić. Co wy, to nie ja. Wujka w robotniczej bluzie wstydzisz się może, co? — zapytał, patrząc przenikliwie w jej oczy... Zmieniło cię nowe życie! Dostatki i zbytki zawróciły głowę...

— Wujku. — szepnęła z wyrzutem Stasia. — Dlaczego wujek mi to mówi... Przecież ja wujka zawsze tak samo szanuję. Dla mnie pieniądze znaczenia nie mają...

Grodzickiemu żal się zrobiło jej pobladłej twarzy i smutnych, łzami zachodzących oczu.

Szorstką ręką ujął jej dłoń i przyciągnął do siebie.

— No, no, wierzę ci — uspokój się... zawsze byłaś uczciwą i dobrą dziewczyną... Cóż cię sprowadziło do mnie? Coś tam się z tobą niedobrego dziać musi, bo zeszczupiałaś trochę i zmizerniałaś na tym pańskim chlebie...

— Ah! wujku — westchnęła Stasia, bo znowu całe jej przykre położenie stanęło jej przed oczami, gasząc tę odrobinę nadziei, której nabrała wczoraj. — Źle jest ze mną, bardzo źle... chciałam ci wszystko powiedzieć... poradzić się... Gdyby wujek mógł mieć wolną chwilę...

— Mogę ją mieć dla ciebie, bo wiem, że dla głupstwa tu nie przyszłaś — odparł poważnie Grodzicki. — Zaczekaj tu na mnie, wrócę do fabryki i uwolnię się, i tak już niedługo kończymy robotę.

W kwadrans później siedzieli oboje w małej, pobliskiej cukierni, dosyć opustoszałej w tej chwili. Mogli więc porozumiewać się spokojnie.

— Mów teraz — zaczął Grodzicki, kiedy chłopiec usługujący oddalił się do drugiego pokoju.

Stasia opowiadać zaczęła... o całej swojej dwuletniej miłości dla Franka, o niechęci matki do niego, datującej jeszcze z czasów, kiedy mieli sklepik przy ulicy Felicyanek, o wszystkich zmianach, zaszłych w przeciągu tych kilku miesięcy, w końcu o planowanem jej małżeństwie z młodym Markiewiczem. W miarę jak mówiła, twarz Grodzickiego zasępiała się. Parę razy nawet ciche przekleństwo wybiegło z jego ust i brwi nad oczami zsuwały się groźnie, ale spojrzawszy na jej twarz niespokojną, milkł zaraz, zaciągając się energicznie dymem papierosa.

Kiedy umilkła, z wytężeniem patrząc w jego oczy, badając, jakie wrażenie wyznanie jej uczyniło, Grodzicki po dłuższem milczeniu odezwał się.

— Tak, masz słuszność, nie jest dobrze... Wiedziałem trochę, co się u was dzieje, ale nie przypuszczałem, aby rodzice twoi do tego stopnia zaślepieni byli. Porwała ich gorączka złota i trzyma w swojej mocy jak w kleszczach. Małżeństwo Kazi z tym hrabią, to będzie katastrofa dla nich. Sami nie zdają sobie sprawy, że pracują nad własnem nieszczęściem. Ten pan nie napróżno żeni się ze zbogaconą Gawlikówną! Obedrze ich ze wszystkiego, zapędzi w długi... Ale może to i lepiej dla nich ...i ciebie — dodał. — Jak im pieniędzy zabraknie, a nie zawsze tak dobrze interesa iść będą, opamiętają się może i powrócą do dawnej pracy i do dawnego życia... Ale czekać na to ty, nie możesz... Powiadasz, że ślub twój z tym Markiewiczem naznaczony za parę miesięcy!...

— Tak wujku, zaraz po powrocie rodziców z Zakopanego...

— Słuchaj, Staszka — odezwał się w końcu. — Nie namawiałbym cię nigdy do kłamstwa i udawania, gdyby położenie nie było tak niebezpieczne... Ty się musisz zgodzić na to małżeństwo.

— Co? wujku? co? — przelękła się Stasia.

— Czekaj, czekaj... nie gorączkuj się tak. Musisz się zgodzić pozornie — uważasz? Widzisz dziecko, ciężko to i trudno, ale w życiu nieraz politykować trzeba... w dobrej sprawie... jak się zgodzisz, to choć w domu spokój na jakiś czas mieć będziesz. Ja jutro, choć mnie to dużo kosztować będzie, zobaczę się z ojcem na mieście. Wiem, gdzie go szukać. On ciebie więcej kochał, niż Kazię. Dziś, oszołomiony jest nowością, matka i Kazia pchają go, robią z nim co chcą. Ale ja z nim pogadam po swojemu i przynajmniej tyle zrobię, że wyrobię na nim odwleczenie tego ślubu. Sam przecież zrozumie, że niema co się z tem śpieszyć. Jesteś jeszcze



— Nie obawiaj się moja mała. Wszystko się jeszcze dobrze może ułożyć.

za młoda, musisz się oswoić z tą myślą, a może przez ten czas jeszcze ktoś lepszy się trafi. Tak mu to przedstawię, uważasz. Zyskamy na tej komedji parę miesięcy... A kto wie, moje dziecko, co się przez ten czas stać może... Ten goły hrabia może tak ich wypompuje, że i Markiewicz sam się spostrzeże i odstąpi. Żałować go chyba nie będziesz — zaśmiał się, chcąc rozweselić Stasię wpatrzoną w niego smutnie.

— Oh! wujku! żeby tak naprawdę stać się mogło — zawołała z błyskiem radości w oczach.

Ale po chwili znowu posmutniała i szepnęła cicho.

— Wujku, a może to źle, że my pragniemy, żeby rodzice stracili ten majątek, co dziś mają... Nie chciałabym budować własnego szczęścia na ich nieszczęściu...

— Nie bądź dziecinna — przerwał jej szorstko Grodzicki. — To żadne nieszczęście dla nich, tylko powrót na właściwą drogę, z której schodzić nigdy nie byli powinni. To nie są uczciwie zarobione pieniądze, moje dziecko, przykro mi, że tak ci mówić muszę, ale tak jest, niestety. Takie pieniądze nigdy w waszym domu być nie powinny. I jeżeli one mają być przeszkodą do twego szczęścia, to sam bym je ukradł i spalił. Ani takich pieniędzy, ani takich ludzi, co do nich przywiązani są, żałować nie należy... Inne są sposoby do uczynienia sobie życia mniej ciężkiego, nie takie!

Głos Grodzickiego brzmiał twardo i surowo. Czuć było, że słowa te dyktuje mu głęboko zakorzenione poczucie uczciwości i sprawiedliwości.

— Ale oni tak przywykli do dobrobytu, do wygód — próbowała jeszcze bronić się przed własnem sumieniem Stasia.

— To odwykną! — rzucił surowo Grodzicki. — Niech nie lekceważą pracy, to sobie na niejedną wygodę pozwolić będą mogli. Żeby tylko Bóg dał, żeby się tak stało, jak myślę. Wszystko by zaraz inny obrót wzięło, i ojciec by się opamiętał może. Wierz mi, dziecko, rodzice twoi zdrowi są i wiekiem jeszcze nie zmęczeni, pracować mogą, bo uczciwa praca nikomu jeszcze szkody nie przyniosła. Twój chłopak mi się podoba. Wiem, że przy nim żadnych trosk mieć nie będziesz. Dziś już jako pomocnik handlowy wcale ładnie zarabia, a w przyszłości i ty — zaśmiał się Grodzicki — możesz być jeszcze szanowną panią kupcową!

— Oh! wuju — zawołała Stasia — nie mam wcale takich wysokich ambicyi. Chcę tylko zdać maturę, a później, kiedy będziemy już razem, dopomagać mężowi do utrzymania domu...

— Lubię cię za to, że tak trzeźwo umiesz na świat patrzeć — wyrzekł Grodzicki serdecznie. — Nie obawiaj się moja mała. Wszystko się jeszcze dobrze może ułożyć. Oboje pragniemy tylko dobra, więc zwyciężyć musimy. Wracaj teraz do domu, bo dłuższa twoja nieobecność zwrócić może uwagę. Ja z ojcem się jutro zobaczę, a ty, jak ci mówiłem, bądź cierpliwa i na razie nie sprzeciwiaj się zamiarom rodziców. Musisz już tę ofiarę ponieść przez miłość dla twojego Franka. Wy, kobiety, jak chcecie, to wszystko ze siebie zrobić potraficie.

VII.

Hrabia Gucio obudził się tego dnia w bardzo złym humorze. Była już godzina jedenasta, ale uczuwał jeszcze gwałtowną potrzebę snu. Powrócił bardzo późno w nocy do siebie, długo zasnąć nie mógł i do tego jeszcze trapiły go dosyć nieprzyjemne sny.

A miał hrabia Gucio wiele ciężkich myśli na głowie. Sprawy jego funduszowe były na najgorszej drodze. Przed paroma dniami odebrał był od matki, starej hrabiny Teresy, broniącej ostatniego folwarku przed napaściami wierzycieli, list o bardzo niepokojącej treści. Hrabina w suchych, zwięzłych słowach donosiła, że na czas pewien będzie zmuszona cofnąć miesięczną rentę, przysyłaną dotąd, gdyż zapłacenie ostatnich długów hrabiego Gucia podkopało zupełnie stan jej kasy, do tego stopnia, że na zasiewy wiosenne zmuszona była zaciągnąć znowu pożyczkę u faktora domowego, jedynego człowieka, dla którego podpis hrabiny Teresy przedstawiał jeszcze pewną wartość. W rzeczywistości jednak faktor Lejba, który długie lata wysługiwał się hrabinie z jaknajlepszym dla siebie rezultatem, chętnie ulegał jej pieniężnym żądaniom, bo wiedział dobrze, że wypłacalność jej staje się coraz więcej niepewną i przyjdzie wkrótce radosny dla niego dzień, w którym on stanie się prawowitym właścicielem Pustelnik, ostatniego folwarku hrabiny.

Wiadomość, odebrana od matki, przyszła dla hrabiego Gucia bardzo nie w porę. Nietylko, że był od dwóch tygodni zupełnie „à sec", ale starania o rękę i posag Kazi Gawlikównej naraziły go na wiele nadprogramowych wydatków, które pokrywać musiał małemi pożyczkami, zaciągniętemi u przypadkowych znajomych, którym jeszcze imponował jego tytuł, lub też pieniędzmi, wygranemi szczęśliwie w karty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM I.

20

Oczy jego stały się jeszcze więcej ponure, spojrzenie ciężkie.

— To jest wiadomo, lecz nie pani — rzekł.

— I nie panu — odparła z nagią, prawdziwie kobiecą ostrością.

Szybkim, elastycznym ruchem, wyciągnął się przy niej, w cieniu góry.

Zwrócił się na bok, podnosząc się trochę na silnem ramieniu i pozostawał w tej pozycyi bez widocznego wysiłku.

— Proszę, nie próbuj ze mną hypnotycznych, fakirskich, sztuczek, Barondi — rzekła, poprawiając za sobą poduszki. — Słyszałam o wielu europejskich histerycznych kobietach, które tutaj waryowały, lecz ja nie jestem histeryczką, upewniam pana.

— Nie, pani jest praktyczna, jak ja, i coś jeszcze — jak ja jestem.

Przechylił trochę głowę; ruch ten odsłonił jego wspaniałą szyję, która zdawała się wskazywać na skoncentrowaną w nim siłę, siłę spokojną i dziką jak te skały, podobne do skamieniałych płomieni, które ich otaczały.

— Coś jeszcze — co?

— Dlaczego kobiety tak często pytają o to, co same wiedzą? Oto Ibrahim przynosi nam kawę.

W tej chwili właśnie nadchodził Ibrahim, niosąc tacę z przyborami do kawy. Nie mówiąc słowa, postawił tacę na ziemi, napełnił filiżanki, podał je Barondi'emu i Mrs. Armine, i nie spojrzawszy nawet na tę ostatnią, zwolna odszedł. A ona myślała, że Ibrahim jest miłym i uprzejmym chłopcem! Czy ci ludzie czytali jej myśli, zgadywali jej życzenia? — nawet dragomanowie i poganiacze osłów? Błyskawicą przeszła jej myśl, że Anglicy, rasa panująca, którą znała tak dobrze, byli tylko dziećmi — krótkowzrocznemi, zimnemi dziećmi — że ci podwładni egipcyanie, Barondi, Ibrahim i modlący się Hanza byli silnymi, gorącokrwistymi ludźmi, posiadającymi dar odgadywania.

Wypiła trochę kawy, postawiła filiżankę i rzekła:

— Pierwszej nocy, którą spędziliśmy w willi Androud, pańscy nubijscy żeglarze płynęli Nilem, i śpiewali tuż pod ogrodem. Dlaczego to uczynili?

— Bo są moimi sługami i otrzymali mój rozkaz.

— A Ibrahim i Hanza? — spytała.

— Otrzymali mój rozkaz przyprowadzić panią tutaj.

— Tak — rzekła.

Przez chwilę milczała.

— Tak, naturalnie, mieli pański rozkaz.

Mówiąc to, czuła, że zadowolenie ją przenika. Ten człowiek witał ją z Aleksandryi na progu nowego życia nad Nilem. Wtedy ją witał, a teraz bezwzględnie ją znieważył. Przyznawał spokojnie, że postąpił z nią, jak z jakimś przedmiotem.

To się jej podobało.

Przywitał ją pierwszego wieczora pieśnią o Allahu. Przypomniała sobie Hanzę pogrążonego w modlitwie, i przypomniała, jak silną wiarę w Allaha miał ten bezlitosny człowiek, który przy niej spoczywał.

— Śpiewali pieśni o Allahu — rzekła zwolna. — Allah był jedynym wyrazem, który mogłam zrozumieć.

Barondi podniósł się trochę więcej, i patrząc wprost na nią, otworzył usta i silnym a tęsknym głosem zaczął śpiewać porywczą, ulubioną pieśń nubijskich żeglarzy. Głos jego odbity o otaczające ich żółte skały, wydawał się nadnaturalnie potężny i czynił na Mrs. Arminie wielkie, prawie bolesne wrażenie. Niemniej była pod jego urokiem. Kiedy zamilkł, szepnęła:

— Tak — to było to.

Nie odrzekł nic, i jego absolutne milczenie, które nastąpiło po tym śpiewie, wzmocniło jego dziwną nad nią przewagę. Przed chwilą myślała. wiedziała nawet, że ona i Barondi tak się wzajemnie rozumieją, jak nigdy nie mogła się zrozumieć z Niglem. Podczas gdy wiara jej małżonka pobudzała ją do ironii, jaką odczuwa złośliwa osoba, słysząc naiwne zwierzenia dziewrotnej drodze prawie nie rozmawiała z Ibrahimem, a wcale z Hanzą, któremu powiedziała jak ogień, który ją palił, jak żelazne drzwi przed nią zamknięte. A jednak nigdy jej o swej wierze nie mówił, nie mówił i teraz. Lecz śpiewał pieśń Nubijczyków.

— Czy pan powiedział dzisiaj Ibrahimowi, żeby najął dzisiaj dla mnie Hanzę jako poganiacza osłów?

Ciągle jej się zdawało, że widzi Hanzę, biegnącego obok niej, lub modlącego się wśród skał.

— Tak.

— Dlaczego?

— Hanza jest bardzo dobrym poganiaczem osłów,

W tej chwili Mrs. Armine zaczęła się bać Hamzy... bać się nawet jego modlitwy. To było bardzo niedorzeczne, wiedziała o tem, gdyż w nic nie wierzyła. Barondi leżał z twarzą, opartą na ręku. Była dziwna tajemniczość w jego śpiewie, dziwna tajemniczość w jego zachowaniu. Pozdrowił ją w nocy, z Nilu, kiedy kiedy był daleko z Aleksandryi, kazał Ibrahimowi i Hanzie przyprowadzić ją do tego samotnego miejsca i teraz leżał przy niej, silny, spokojny, prawdopodobnie był pogrążony w głębokiej zadumie, nie zważając na nią, nie czyniąc żadnego wysiłku, żeby się jej podobać, nawet — tak się jej teraz zdawało — nie myśląc o niej. Dlaczego nie czuła się tem dotkniętą, oburzoną? Dlaczego była nawet oczarowana jego obojętnością? Nie zadawała sobie tych pytań. Może uchwyciła coś z jego natury.

Przez dłuższy czas pozostawali tak jedno obok drugiego, bez ruchu, w milczeniu. I ten okres ciszy, był dla Mrs. Armine najdziwniejszym okresem w jej życiu, pełnem przygód. W tej ciszy została przeistoczoną, w tej ciszy została wyrwaną ze swego świata. Co w tej ciszy było czynnem? i w jaki sposób? Co w niej przemawiało? Żadne echo się nie odezwało wśród gorejących skał gór Libijskich. A jednak coś podniosło głowę i zawołało. I przyszła odpowiedź, która echem nie była.

Kiedy zaczęli rozmawiać, namiętne pragnienia użycia pozostałych jej lat spotęgowało się w Mrs. Armine i zrodziło w niej dziwne uczucie wiary, właściwie zdaje się, tylko kobietom, wiary, — że zemści się nad losem, tym losem, który jej odjął możność posiadania tego wszystkiego, co pragnęła, wychodząc za Nigla i, że dokona tego przy pomocy człowieka, który obok niej leżał.

XVII.

Tego wieczoru, jak feluka stanęła przed ogrodem willi Androud, Mrs. Armine nie czekając na pomoc Ibrahima, spiesznie sama wysiadła, przebiegła przez ogród i teraz weszła do domu i znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz, zapaliła świece po obu stronach wysokiego lustra, uważnie z niepokojem zaczęła się przypatrywać swej nieuszminkowanej twarzy.

Czy uczyniła rozsądnie, ścierając szminki? Kilkakrotnie, w czasie swojego sam na sam z Barondi'm, prawie paniczny strach ją przejmował na myśl o tem, co uczyniła. Teraz, bezpieczna i sama zapytywała się, czy nie była waryatką, idąc za namową Nigla i ufając swej własnej piękności.

Wpatrywała się w lustro: zdjęła kapelusz i welon i wpatrywała się znowu ostro, krytycznie.

Usłyszała pukanie do drzwi.

— Kto tam?

— C'est moi, Madame.

Mrs. Armine podeszła do drzwi i otworzyła.

— Chodź tu, Marie — rzekła prawie szorstko — i powiedz mi prawdę. Nie chcę żadnego pochlebstwa. Czy myślisz, że wyglądam młodziej, lepiej z ubarwioną twarzą, czy też tak?

Przysunęła swą twarz do świec i stała zupełnie spokojnie. Marie patrzała na nią z uwagą.

— Madame, wygląda daleko młodziej tutaj — rzekła w końcu. — Madame zmieniła się bardzo, od kiedy jesteśmy w Egipcie. Niewiem dobrze, lecz zdaje mi się, że Madame może pozostać bez niczego, ale jeżeli Madame będzie przebywała na słońcu, to wieczorem... I dziewczyna gadała, szczęśliwa, że może mówić o czemś, co ją interesuje.

Mrs. Armine jadła obiad sama i prędko. Było po dziewiątej, kiedy przeszła na taras, żeby wypalić papierosa i wypić swą kawę. W pocka, — wiara Barondi'ego czarowała ją, wzbudzała u niej nieledwie uczucie bojaźni. To było tylko dobranoc, jak dojechali na brzeg Nilu. Przypomniała sobie teraz wyraz jego oczu, kiedy jej zwrócił pozdrowienie — wyraz bezlitosny, zrywający z niej wszystkie zas ony.

Oczy Ibrahima nie mogły nigdy mieć wyrazu oczu Hanzy. A pomiędzy Ibrahimem a Hanzą, jaka była istotna różnica? Lecz powiedziała sobie: „po co mam sobie łamać głowę nad tymi ludźmi, służącym i poganiaczom osłów?"

W Anglii nie zatroszczyłaby się ani trochę, co służba może o niej pomyśleć. Tutaj rzeczy wydawały się inaczej. Ibrahim i Hanza przywiedli ją do miejsca, gdzie Barondi na nią oczekiwał. Byli opłacani przez Barondi'ego. To była naga prawda. Myśla o tem, siedząc sama przy kawie, którą jej przyniósł Hassan i paląc papierosa. Mówiła sobie, że powinna się obrazić, lecz nie czuła się obrażoną. Czuła się zadowoloną, że Ibrahim i Hanza zostali przekupieni przez Barondi'ego. Ludzie Wschodu rodzą się ze zmysłem do intryg, z zamiłowaniem do ukrytych dróg i krętych ścieżek. Dlaczego ci, którzy ją otaczali nie mieliby być wiernymi swym naturom?

I pomyślała o Niglu.

Jakże o wiele była swobodniejszą z Barondi'm, niż z Niglem! Nigdy nie będzie mogła dać Niglowi tego, czego pragnął. Mogłoby mu się wydawać, że mu daje, lecz ten chleb byłby w istocie kamieniem, nawet gdyby Nigel dał się oszukać. Lecz mogła dać to, czego Barondi pragnął. Nie myliła się co do siebie. A on mógł także jej dać czego sobie życzyła.

Po tym długim dniu, spędzonym w górach, dawne jej ambicye zamarły, a wzrosły w niej nagle zamiłowanie, chciwość do materyalnych rzeczy — do pieniędzy, klejnotów, do wszystkiego, co jest zamknięte w słowie — zbytek.

Barondi był niezmiernie bogatym i bogactwo jego ciągle wzrastało. Wiedziała, jak ocenić człowieka, a pomimo, że nawet przed nią, były w nim tajemnice, zdawała sobie doskonale sprawę z jego praktycznych zdolności, z jego możności zdobywania.

Lecz on mógł jej dać więcej niż zbytek, daleko więcej niż zbytek. I kiedy doszła do tego przekonania, w sercu Mrs. Armine ukazało się nowe uczucie.

Tem uczuciem była bojaźń.

Wiedziała, że w Barondi'm znalazła człowieka, który mógł nad nią panować, który być może mógłby ją zniszczyć, gdyż znalazła w nim człowieka, którego mogła kochać, nie w sposób idealny — nie była zdolną do takiej miłości — lecz z niebezpieczną siłą, zazdrosną fizyczną namiętnością i pożądaniem, z prawie gorzką koncentracyą, które przychodzą w życiu pewnego typu kobiet, dopiero wtedy, gdy młodość minęła. Wiedziała o tem i doznawała takiej bojaźni, jakiej dawniej nigdy nie czuła.

Tej nocy mało spała. Parę razy, leżąc, obudzona w ciemności, słyszała dalekie głosy, śpiewające gdzieś na Nilu, i odwróciła się na łóżku, pragnęła wejść w nie, zbliżyć się do tych głosów. Zdawały się być tutaj dla niej, wołać ją, i przywiodły jej na pamięć dźwięk głosu Barondi'ego, kiedy śpiewał pieśń o Allahu. I widziała go przed sobą w ciemności, z jakąś bolesną dokładnością, jakby był oświecony przez palące promienie słońca. Dlaczego spotkała tego człowieka zaraz po decydującym kroku powtórnego małżeństwa? Przez całe lata była wolną i swobodną, jak tylko być może towarzyski banita, i przez wszystkie te lata swobody przestawała z mężczyznami, nie kochając właściwie żadnego z nich. A w końcu raz jeszcze się związała, uczyniła krok, który zdawał się ją stanowczo zaprowadzić do ogólnego szacunku, do wysokiej, światowej pozycyi i zaledwie to uczyniła, los rzucił na jej drogę człowieka, który mógł ją opanować i odpowiedzieć wszystkim pragnieniom jej natury.

Czy te słowa z Koranu nie stosowały się do niej? jej przyszłość była bezwątpienia przywiązana u jej szyi. Przez kogo? jeżeli się spyta Barondi'ego, wie z góry, co jej odpowie.

Dziwna nawet jego wiara ją pociągała, pomimo, że wiara Nigla pobudzała ją do śmiechu, gdyż w wierze Barondi'ego zdawała się być siła twarda, dzika i okrutna. Nawet w religii czuła w nim rozbójnika, chcącego uchwycić chciwemi rękoma obietnice i radości innego świata.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

— Jest Guzik!... — zawołała onegdaj Weronika, gdy kronikarz wchodził w progi domowego, wygasłego ogniska, a minę miała tak rozczuloną, jak gdyby nie tylko wygrała milion na premiówkę, ale już go jej nawet wypłacono w gotówce, bez jakichkolwiek potrąceń. Tak musiała przed dwoma tygodniami wyglądać pani Babska w Warszawie, gdy się znalazła w tem miłem położeniu.

W tej chwili przypomniała się kronikarzowi owa niewiasta z Pisma świętego, która, znalazłszy grosz, jaki była zgubiła, sprasza sąsiadki i raduje się wraz z niemi z powodu odnalezienia zguby. Aby jednak znalezienie zwykłego guzika, choćby nawet w tak ciężkich czasach, w których guziki doszły do takiej wartości, iż przedstawiciele gatunku *homo sapiens* z odmiany *andrus cracoviensis*, nie używają ich już do gry, uważając to za zbyt wysoki hazard, posługując się natomiast przy tej niewinnej zabawie markami, mniejszą od nich wartość mającemi, to się kronikarzowi ani w głowie pomieścić nie mogło.

Aby jednak dać także wyraz swej radości, rzekł:

— A to dobrze!... A gdzie go znalazłaś?... Pewnie był pod łóżkiem?... Niepotrzebnie się go naszukałem!

Teraz z kolei zrobiła Weronika wdzięczną minę, posądzając niesłusznie małżonka, że może przebrał miarkę w używaniu płynnych darów Bożych, nazywanych popularnie trunkowością.

To „guzikowe" nieporozumienie, które przecież nie dało powodu do jakichś gorszących scen małżeńskich, wyjaśniło się bardzo rychło. Pokazało się mianowicie, że Weronika miała na myśli słynne medyum warszawskie, rodem z Łaszek, gdy natomiast kronikarz był zdania, że się tu rozchodzi o zwykły guzik od jednej z części garderoby, okrywającej jego cielesną powłokę, który mu się urwał rano podczas ubierania.

— A to ładny z ciebie dziennikarz — mówiła dalej Weronika — jeżeli nie wiesz nic o tak senzacyjnym wypadku i o tem, co go spowodowało!... Całe miasto o tem mówi!

— Widocznie nie całe — bronił się — jeżeli o tem nic nie słyszałem, choć rozmawiałem z tym i owym.

— Bo też Pan Bóg wie, o czem wy tam sobie rozpowiadacie. Więc nic nie wiesz o zaginięciu czarnej perły, wartości pół miliona?

— Nic!... „Czarna perełka" Kraszewskiego interesowała mnie przed laty, gdy ją drukowała „Strzecha", spotkałem w życiu niejedną „czarną perełkę", choć w brunetkach, jak sama o tem wiesz najlepiej, nie gustuję, przytem jednak czarne perły bardzo mię zresztą mało obchodziły.

— A jednak jest to wypadek dnia!... Zaraz rano przyszła do mnie z tą nowiną Bajczarska, ale ja na szczęście wiedziałam już o tem od Gąbalewiczowej, z którą spotkałam się w mieście. Możesz sobie wyobrazić, jaką minę zrobiła Bajczarska... Westchnęła z bólem i rzekła: „Mój Boże!... Jak szczególne są żony dziennikarzy!... One wiedzą pierwsze o wszystkiem!"... Naturalnie nie wyprowadziłam jej z błędu, ze względu na twoją dobrą opinię!...

I dalejże Weronika opowiadać, jak to w pewnym krakowskim domu odbywało się weselisko krewniaka, a zabawa, podsycana staropolską gościnnością gospodarstwa, stawała się coraz bardziej ożywioną. W trakcie jej pani domu pochwaliła się, że od męża otrzymała w podarunku broszkę z czarną perłą, wartości pół miliona. Cenny ów przedmiot podawano sobie z rąk do rąk, oglądając go z rosnącem z każdą chwilą zaciekawieniem, co się z nim przecież stało, nikt nie wie, faktem jest bowiem, że w końcu okazało się, że goście są wszyscy, a broszki z perłą niema!... Lament, prośby i groźby, poszukiwania — wszystko bez skutku. Czarna perła przepadła, niczem kamień we wodzie. W celu wyszukania jej, sprowadzono z Warszawy za bardzo wysokiemi dyetami pana Guzika, aby sobie pogadał z duchami i przy ich pomocy wskazał gdzie, ewentualnie „u kogo" cenny skarb się ukrywa. Ale i to nie zdało się na nic. Seans się odbył, duchy nic powiedzieć nie chciały, wobec tego udawały. Pan Guzik, jak doniosła najświeższa depesza z miasta, dostarczona przez Pantoflewiczową, już odjechał, ale nie do Paryża, jak zapowiadano, lecz do Warszawy, aby się prawdopodobnie poskarżyć przed tamtejszymi duchami, że ich krakowscy koledzy nie chcą mu iść na rękę.

Jednem słowem sensacya, jakiej Kraków nie miał od szeregu lat. Z tego powodu odbyły się seanse spirytystyczne na mniejszą skalę, przy współudziale miejscowych medyów, nie mających jeszcze europejskiej sławy. Perły dotąd niema, istnieje jednak dwieście dziewięćdziesiąt cztery rozmaitych przypuszczeń, co się z nią stać mogło. Najbardziej do prawdy zbliżonem jest wyrażone przez kronikarza, że prawdopodobnie, podczas podawania sobie z rąk do rąk, perła wpadła do kieliszka z winem i w niem się rozpuściła...

— W to wątpię!... — oświadczyła Weronika — choć gdzieś czytałam, że starożytni Rzymianie rozpuszczali perły w winie... Dajmy na to, że i w tym wypadku było to samo... Ale co się w takim razie stało z broszką?... Do kieliszka nie wpadła, a choćbyśmy i to nawet przypuścili, to złoto w winie się nie rozpuści... Sama, na własne swoje oczy widziałam, że pływało w gdańskiej złotówce...

— Tak!... Perła mogła się rozpuścić we winie, a złota branzoletka stopiła się z gorąca. Sama opowiadałaś, że oglądano ją z bardzo gorącem zaciekawieniem. I złoto można doprowadzić do stanu wrzenia, podczas którego się ulatnia...

To się jej jakoś nie bardzo podobało, nie ulega przecież kwestyi, że przypuszczenie to, odpowiednio zmodyfikowane, przedostanie się popołudniu przy pomocy telegrafu bez drutu do wiadomości jej przyjaciółek.

— Tego jednak darować nie mogę, iż tego Guzika nie widziałam!... — mówiła z żalem — Gdybyś nie był takim fajerą, jakim jesteś, byłabym o tem wiedziała wcześniej, a już moja w tem głowa, aby go gdzieś dopaść!...

— Ja też żałuję, że już pojechał — oświadczył kronikarz na zakończenie, aby udowodnić, że w domu ma on ostatnie słowo, nie żona. — Może byłby znalazł ten guzik, który zgubiłem!

— Dla ciebie nie ma nic świętego!... — zawołała z oburzeniem. — Perły czarnej za pół miliona nie znalazł, a miałby się trudzić szukaniem twojego guzika...

— Tak!.. Ale guziki to właśnie jego fach, gdyż jest z zawodu krawcem, a wywoływanie duchów to tylko jego poboczne zajęcie...

I na tem skończyliśmy dyskusyę na ten temat. Weronice wlazł przecie w głowę Guzik nie na żarty, a o czarnej perle, jak sam to kronikarz na własne uszy stwierdził, mówiła nawet przez sen. Ma zamiar urządzić nawet w najbliższym czasie w domu seans spirytystyczny, przy którym jako medyum ma fungować służąca Kasia, podobno się do tego celu zupełnie nadająca.

Od jakiegoś czasu słychać nocną porą w kuchni jakieś podejrzane szmery, otwieranie drzwi i t. d. Kasia twierdzi, że nie wie, co się „tak telepie". Weronika jest zdania, że to duchy, coś podobnego działo się bowiem i w domu, w którym mieszkał p. Guzik, gdy był jeszcze młody. To duchy dawały mu znać, że rade byłyby wejść z nim w bliższe stosunki.

O ile zatem seans się odbędzie i uda, złoży z niego kronikarz wyczerpujące sprawozdanie.. Na razie musi tylko wyrazić ubolewanie, że nie czuje w sobie medyumistycznych zdolności, choćby tylko miały mu one służyć do prowadzenia pobocznego zajęcia, obok kronikarskiego, bo jest to, jak się pokazuje, interes nie najgorszy. Pan Guzik, jak powiadają, brał dziennie po dziesięć tysięcy marek dyet, oprócz odpowiedniego posiłku dla ciała, aby miał siły przy przeprowadzaniu „materyalizacyi" duchów. Za takiem dziennem wynagrodzeniem opłaci się szukać czarnej perły nie dwa dni, jak to było w tym wypadku, ale bodajby nawet cały miesiąc.

Z ową czarną perłą stała się zatem całkiem czarna historya, a Kraków się cieszy, że, nie mając co jeść, ani przyczem się ogrzać, ma bodaj o czem mówić. Zwłaszcza przed tawiernami płci nadobnej z tego powodu od rana do późnego wieczora nie zamykają ust, a ruch, jaki połączony jest z pospiesznem roznoszeniem najświeższych wiadomości, wpływa bardzo dodatnio na wytwarzanie się ciepliku.

To „rozguzikowanie się" naszych pań mogło było mieć bardzo fatalne skutki, ale tylko w normalnych warunkach, a nie w takich, w jakich obecnie żyjemy. Mogło ono wpłynąć ujemnie na przygotowania świąteczne, które w tym czasie powinny być już w pełnym toku. Niestety, w roku bieżącym, w chwili, gdy to kronikarz pisze, to jest na dwa tygodnie prawie przed Świętami, jeszcze się one nie zaczęły, a właściwie już skończyły. Bo i jak się tu do nich przygotowywać, gdy, jak samo Pismo św. powiada, z próżnego i Salomon nie naleje.

Od szeregu tygodni nie widzimy chleba kontyngentowego, w zamian za który karmi nas magistrat na zmianę pęcakiem, fasolą, w ostatnim zaś tygodniu grysikiem kukurydzianym. Nie ulega więc kwestyi, że i na Święta mąki nie będzie, jeśliby się zaś znalazła, to w tak minimalnej ilości, że dobrze sobie trzeba głowę nałamać, co z niej zrobić. Sama zresztą mąka nie wystarczy. Potrzebne są nadto jaja, cukier, masło, to jest artykuły, które się dziś musi kupować na wagę złota. Jajo na targu kosztuje już dziesięć marek i nie jest bynajmniej wykluczonem, że przed samemi Świętami dojdzie do dwudziestu. Wszystko idzie w górę, idą zatem i jaja. Kura uważa, że robi ludziom łaskę, znosząc im od czasu do czasu takie „kapitały", baba wiejska jest tego samego zdania, sprzedając je na targu po bajońskich cenach.

Zupełnie coś podobnego dzieje się z masłem i mlekiem. Ćwierć funta masła t y l k o czterdzieści ośm marek, litr mleka, kolorem tylko, ale nie smakiem dawne mleko przypominającego, dwadzieścia marek.

O cukrze nawet i mowy niema!... Na giełdzie towarowej notowany jest na równi z bryljantami i sprzedaje się go na karaty.

Podczas badania tych przedświątecznych stosunków nasunęła się kronikarzowi pewna uwaga. Mąki niema, cukru brak, ale zato różnego rodzaju pierników i ciastek, choćby tylko w hali Sukiennic, aż zadużo. Kosztują też porządnie, ale mimo to znajdują chętnych nabywców. Czy nie byłoby zatem wskazanem, aby wogóle zakazać wypieku podobnych bałabuchów, ale też i zakazu tego przestrzegać ściśle. Podobny zakaz istnieje, ale zostawia (jak zresztą wszystkie...) otwartą furtkę dla spekulantów, przysięgających na wszystkie świętości, że w specyałach, które z pod ich rąk wyszły, niema ani mąki, ani cukru...

Ten brak artykułów, niezbędnych dawniej przy przygotowaniach do Świąt, daje się odczuć ogółowi, ale nie jednostkom, które sobie mogą pozwolić na zapłacenie stu marek za dwufuntowy bochenek... pozakontyngentowego chleba. Paskarzom, lichwiarzom i innym milionerom wojennym nie zbywa też na niczem, opływają we wszystko, nic sobie nie odmawiając, płacąc za wszystko każdą żądaną cenę. I oni to głównie przyczyniają się do podtrzymania drożyzny. Sprzedający wie dobrze, że, prędzej czy później zjawi się taki pan lub pani i zapłaci, ile zażąda. Proletaryat inteligencyi jest wobec tych praktyk bezsilny, a nie ma nikogo, kto chciałby go wziąć w obronę.

Święta zatem przedstawiają się już dziś bardzo ponuro. Chyba jedna pogoda dopisze, według bowiem wskazówek zebranych w dzień św. Barbary, powinno Boże Narodzenie być po lodzie, choć lód z błotem, jakie wówczas mieliśmy, bynajmniej się nie rymuje.

Nie pozostaje zatem nic innego, jak pogodzić się z losem, wytłómaczyć sobie, że Hoover już rok temu zapowiadał, że będzie źle i pocieszać się nadzieją, że rok przyszły będzie już lepszy i, o ile już teraz rozpoczniemy starania, na następne Święta możemy już mieć rybki z polskiego morza, o ile tymczasem znów się coś nie odmieni. Możemy bardzo łatwo utracić dostęp bezpośredni do morza, w zamian zaś za to otrzymać rekompensatę przy podziale niemieckich kolonii. Choć od morza odcięci, z naszemi zamorskiemi posiadłościami będziemy się mogli komunikować drogą powietrzną.

Ale to wszystko to dopiero muzyka przyszłości, a my chcielibyśmy, aby już było lepiej.

Wobec wszystkich tych i tym podobnych braków i mankamentów przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia w roku Pańskim 1920 równają się zeru, zatem i kronikarz, choć się miał niemi w tym tygodniu zająć, może zupełnie spokojnie przejść nad niemi do porządku dziennego i, co najwyżej, uronić łzę nad dawnymi czasami, które, niestety minęły i tak prędko nie powrócą. Narzekaliśmy, co prawda, na nie, ale dziś dalibyśmy wiele, aby znów nastały.

Czy to jednak nastąpi, a jeżeli nastąpi, kiedy, o to zapytać warto los w dzień wigiljny, powtarzając „lanie" z przedednia św. Andrzeja. Aby ono było naprawdę pokojowe, należy przytem posługiwać się woskiem, nie ołowiem i uważać pilnie, aby się przypadkowo nie ulała figa.

W dawnych czasach był wieczór wigilijny przeznaczony na obżarstwo (ryby, bałabuchy i t. d.) nic też dziwnego, że noc tę spędzało się bardzo niespokojnie. W bieżącym możemy być pewni, że zbytnie obciążenie żołądka nie spędzi snu z naszych powiek, co najwyżej temu lub owemu przyśnią się cyganie, co się zdarza, ilekroć ktoś o próżnym żołądku kładzie się na spoczynek. Gdyby to jednak miało być prawdą, musielibyśmy, jak rok długi, śnić ciągle tylko o cyganach.

Komu po lat dziesiątkach wpadnie w rękę ta kronika i z niej przekona się, jak przygotowaliśmy się w r. 1920 do godnego obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia, z pewnością gorzko nad losem naszym zapłacze, ale też i powie:

— A jednak ci nasi ojcowie (to jest... my!...) mieli dość siły ducha, skoro to wszystko znieśli...

Zgon zasłużonego Polaka na obczyźnie.

Z Vevey, w Szwajcaryi, doszła wiadomość o śmierci znanego i poważanego Adama Giełguda, zmarłego tam dnia 26 listopada b. r. w 88 roku życia.

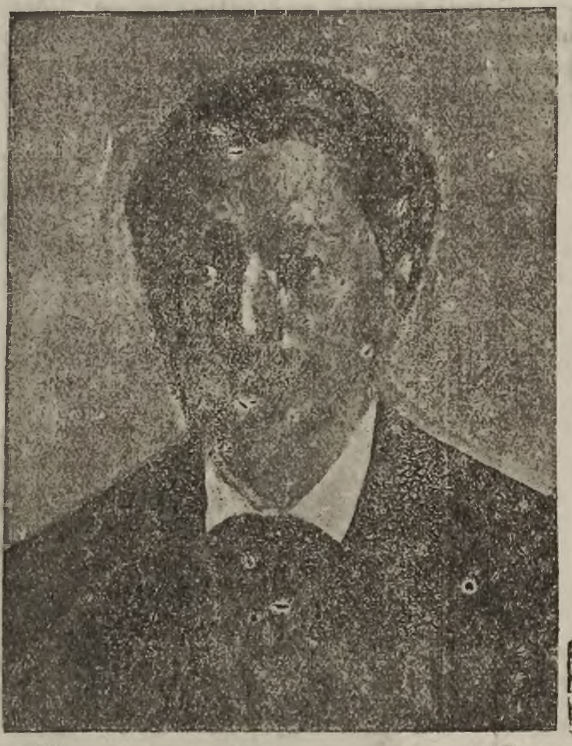
Ze starego rodu kniaziów litewskich, na rodzinnym swym majątku Giełgudyszki od dziada pra dziada osiadłych, urodzony w roku 1832 w Królewcu (wkrótce po przejściu armii naszej do Prus), jako syn majora Giełguda (brata zabitego jenerała), od dziecka przy ojcu emigrancie wzrastał i wychowywał się w stolicy Anglii, gdzie też z najwyższem odznaczeniem skończył Uniwersytet. Wyjątkowo zdolny, z natury pracowity, zaraz po opuszczeniu murów uniwersyteckich został urzędnikiem angielskiego ministeryum wojny w dziale administracyjnym, a szybko awansując na coraz wyższe stopnie hierarchii urzędniczej, w stosunkowo młodym wieku osiągnął jedno z najwyższych i najbardziej odpowiedzialnych stanowisk przy ministrze wojny. Karyerę swą, niezależnie od wyjątkowej inteligencyi i prawości charakteru, zawdzięczał w znacznej mierze swym wrodzonym zdolnościom literackim, mianowicie świetnemu, prawdziwie klasycznemu stylowi angielskiemu, którym władał w sposób mistrzowski.

Prócz tego był ś. p. Giełgud urodzonym dziennikarzem i publicystą w dziedzinie polityki i literatury. Jako taki był członkiem londyńskiego *Arts Club*.

Choć wychowany w Anglii ś. p. Giełgud nic mimo to nie zatracił ze swej polskości, sprawie polskiej przez całe życie służył wiernie, zarówno jako wytrawny polityk jak i ceniony w Anglii publicysta. Ile razy tylko zdarzała się sposobność po temu, zawsze starał się w prasie angielskiej zabierać głos w kwestyi polskiej i przypominał ją wpływowym czynnikom rządowym.

Ożeniony z Polką, wychowanicą zakładu dla panien polskich w hotelu Lambert, panną Anielą Aszpargerówną ze Lwowa, córką sławnej artystki dramatycznej teatru skarbkowskiego, prowadził ś. p. Giełgud dom polski, w którym przez długie lata koncentrowało się życie londyńskiej kolonii polskiej.

Zostawszy w r. 1903 emerytem, przeniósł się ś. p. Giełgud na stały pobyt do Krakowa, nietylko dlatego, że tu miał jedyną córkę, wydaną za znakomitego artystę-malarza, prof. Teodora Axentowicza, ale i dlatego również, że, spędziwszy całe życie na obczyźnie, pragnął ostatnie lata przeżyć w Polsce wśród swoich.



Zgon zasłużonego Polaka na obczyźnie: S. p. Adam Giełgud, b. urzędnik angielskiego ministerstwa wojny. Wykonane wedle obrazu olejnego prof. T. Axentowicza.

Gdy w r. 1914 wybuchła wielka wojna europejska, ś. p. Giełgud, nie mogąc jej przeczekać w Zakopanem, przeniósł się z żoną do neutralnej Szwajcaryi, obierając na miejsce zamieszkania uroczo nad Lemanem położone Vevey. Tutaj, wspólnie z Sienkiewiczem, Paderewskim i Osuchowskim brał czynny udział w pracach komitetu polskiego, przyczem znowu w dziennikach angielskich raz po raz zabierał głos w sprawie polskiej. Tutaj też, w Vevey, pielęgnując chorą żonę, nagle zaniemógł ciężko i po krótkich cierpieniach zmarł na ręku najstarszego syna.

Medycyna i technika na usługach ofiar wojny.

Wojna światowa, prowadzona rzekomo w imię cywilizacyi i kultury, miała wynik wprost przeciwny, cofając ludzkość o całe setki lat wstecz w jej kulturalnym pochodzie.

Smierć zebrała obfite żniwo, pozostały setki tysięcy kalek, które, jak się zdawało, stać się muszą ciężarem społeczeństwa.

Aby ich ratować, medycyna i technika podały sobie pomocną rękę i dzięki ich staraniom i zabiegom, tysiące jednostek, uważanych już za stracone dla społeczeństwa, znalazły się w jego szeregach, jako osobniki, mogące zapracować sobie uczciwie na kawałek codziennego chleba, a nie potrzebujące uciekać się do korzystania z publicznego miłosierdzia, nawet w tym wypadku upokarzającego.

Pomysłowość ludzka w zastąpieniu kalekom brakujących części ciała sztucznemi protezami, osiągnęła wprost zdumiewające rezultaty, a dalsza praca w tym kierunku postępuje ciągle naprzód i każdy dzień przynosi nam nowe na tem polu zdobycze.

O jednym takim wypadku dowiadujemy się z listu dentysty z Wadowic, p. T. Rupperta.

„Donoszę o wypadku, na jaki natrafiłem w mej praktyce dentystycznej.

Były żołnierz armii austryackiej, a za czasów polskich internowany jako ukrainiec, został ranny w lipcu 1918 r. nad Isonco. Otrzymał postrzał przez prawą dolną szczękę i lewą górną, w ten sposób, że cała lewa górna szczęka z podniebieniem, z kością nosową, nosem i policzkiem została wyrwana. Tenże żołnierz był operowanym w szpitalu wojskowym we Lwowie, gdzie mu wyjęto resztki zgruchotanych kości. Przedtem leczono go w szpitalu polowym w Monte Santo, potem w Wiedniu i Budapeszcie, następnie w Stanisławowie, wreszcie we Lwowie, skąd dostał się do szpitala wojskowego w Wadowicach. Przez ten cały czas był karmiony sztucznie przez ranę policzkową, a to z powodu, że po postrzale nie mógł kompletnie ust otwierać, mając szczękościsk. Dopiero tutaj, po zastosowaniu



Chór żołnierzy inwalidów w Krakowie: Inicyatorzy, kierownicy i członkowie Chóru. Siedzą od lewej ku prawej: W. Grodzicki, X kapelan Swierczek, prof. Fr. Konior, prof. L. Grodzicka, major Piotrowski, Dr K. Lubecki, por. Siestrzonek.

wszelkich sposobów i aparatów i to po bardzo ciężkiej ortopedycznej pracy, otwarłem mu w przeciągu 3 i pół miesięcy usta na 3 do 3·5 cm., przez co mógł oddział chirurgiczny zoperować i wyleczyć dolną szczękę. Rany zostały wygojone dopiero przed miesiącem. Ranny moralnie był do niczego, gdyż bez bandaża nie mógł wyjść na wolne powietrze, ani jeść, ani mówić, wogóle nie mówił, tylko bełkotał. Zrobiłem mu protezę, składającą się z 4 ech części, t. j. podniebienia, nosa, policzka i dolnej szyny, tak że po jej założeniu pacyent może wszystko robić, jak każdy przeciętny człowiek, mówi, gryzie, połyka i pali. Proteza nosa zrobiona jest z kauczuku ze sprężyną, która podnosi pozostałe ciało nosa i nie zezwala na zesunięcie się tejże. Części wszystkie trzymają się za pomocą śrób, klamer, sztyftów i zatrzasków, specyalnie zrobionych.



Medycyna i technika na usługach ofiar wojny: Dentysta T. Ruppert z Wadowic, twórca protezy dla okaleczałego Jansiewicza.

Proteza jest tak dokładnie wykonana, że na odległość 10 kroków w jasnym pokoju jest nie do rozpoznania.

Na zgromadzeniu lekarskiem przedstawiłem ów, mej własnej konstrukcyi aparat (protezę), który zrobił wielkie wrażenie na widzach. Pacyent jest zupełnie moralnie zmieniony, gdyż jest pewny siebie i swej protezy.

Podczas demonstracyi d. 30 listopada b. r. otrzymał pacyent od jednego z lekarzy papierosa w celu przekonania się, czy oddycha nosem, t. j. protezą nosa, co też pacyent stwierdził, wypuszczając dym nosem.

Otwory nosowe posiadają siatki, za które zakłada się watę, ażeby chory, który znajduje się w dalszem leczeniu, nie zaziębił się.



Medycyna i technika na usługach ofiar wojny: Były żołnierz armii austryackiej Jansiewicz przed założeniem i po założeniu protezy pomysłu dentysty T Rupperta.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki „Nowości" p. t.

„Józia — legionistką".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, todaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistką". Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna", drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistką" opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa".

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

Kącik humorystyczny.

Z notatek reportera.

Drożyzna szaleje. Ceny wszystkich artykułów dochodzą do zawrotnej wprost wysokości. Ta zwyżka nie oszczędziła i oleju. Jak donosi „Monitor Polski" podwyższone zostały opłaty i taksy egzekucyjne na uniwersytetach i w szkołach średnich.

⊙ ⊙

Ceny spadają. Jak mieliśmy sposobność przekonać się na własne swe oczy, pospadały wszystkie prawie kartki z cenami, umieszczone na przedmiotach w oknie sklepu Paskarskiego przy ul. Grodzkiej.

Złośliwy Bernardyn.

Do przydrożnej karczmy wstąpił kwestarz Bernardyn i zastał tam dwu nieznajomych księży.

Zbliżył się ku nim, pochwalił Pana Boga i zapytał:

— A jegomoście dobrodzieje z którego też zakonu?...

— My z Towarzystwa Jezusowego — odpowiada jeden z nich.

— Z Towarzystwa Jezusowego?... A z którego też... przy narodzeniu Zbawiciela, czy przy śmierci?...

— Nie rozumiemy twego pytania, bracie! — odpowiadają.

— Zaraz to ojcom wytłumaczę... Przy narodzeniu Zbawiciela był wół i osioł, a przy śmierci dwu łotrów!...

Rozwiązanie „Wielkiej Szarady Konkursowej“:

W Nrze niniejszym zamieszczamy resztę nazwisk, które swojego czasu przez omyłkę opuszczono:

151 Robaczyński Józef Stanisław, Krosno
152 Kolasiński August, Warszawa
153 Leszczyński Adam, Zamość
154 Wierzbicki Marcin, Suwałki
155 Korn Aleksander, Warszawa
156 Michnicki Jan, Tarnów
157 Torosiewicz Anna, Warszawa
158 Barber Józef, Biała
159 Drozdowski Henryk, Jasło
160 Sobkowski Jan, Aleksandrów
161 Lachowicz Bogusław, Pińsk
162 Dąbrowski Zygmunt, Janów
163 Dorek Jan, Warszawa
164 Zielski Edward, Sokołów
165 Hirsch Jakób, Sambor
166 Kodroń Stanisław, Kraków
167 Balicki August, Brody
168 Apfen Stanisław, Lwów
169 Gawenda Michał, Nowy Sącz
170 Kucharski Józef, Warszawa
171 Mrozikówna Marya, Chorkówka
172 Widomirski Leon, Kraków
173 Obrazkiewicz Karol, Tarnów
174 Retter Adam, Lublin
175 Bostaniecki Szymon, Szydłów
176 Rozmaryn Marya, Przemyśl
177 Kidrowski Leon, Warszawa
178 Karowski Zygmunt, Poznań
179 Bzowski Włodzimierz, Warszawa
180 Trader Karol, Warszawa
181 Górny Czesław, Limanowa
182 Cegielski Karol, Przemyśl
183 Polański Eugeniusz, Stary Sącz
184 Cadzik Szymon, Zakopane
185 Augustynowicz Helena, Jordanów
186 Korczowski Karol, Przemyśl
187 Stadt Ferdynand, Stanisławów
188 Celesfor Helena, Lwów
189 Tabak Franciszek, Rzeszów
190 Trojanowski Zygmunt, Kraków
191 Stachowicz Michał, Kraków.
192 Gajewski Antoni, Jasło
193 Bojarski Dyonizy, Starawieś
194 Trocker Jan, Lwów
195 Twardowski Michał, Lwów
196 Bąkowski Henryk, Lwów
197 Nowacki Franciszek, Sokołów
198 Dank Marya, Kielce
199 Wielożyński Stanisław, Warszawa
200 Pagner Henryk Nowy Sącz
201 Kaczorowski Włodzimierz, Przeczyca
202 Łuczyk Zofia, Tarnopol
203 Czyżewski Maryan, Lwów
204 Kobrecki Henryk, Kraków
205 Kobyłecki Wiktor, Ustrzyki
206 Lachowicz Wacław, Sokal
206 Gołębiowski Czesław, Kraków
208 Kosiński Konstanty, Wadowice
209 Mączka Józef, Kraków
210 Kopernicki Leopold Dębica
211 Ryznerska Helena, Blechnarka
212 Erben Klara, Nowy Sącz
213 Zaręba Stanisław, Jasło
214 Bociański Józef, Kraków
215 Kozłowski Henryk, Warszawa
216 Jaroszycki Tytus, Warszawa
217 Malek Szymon, Złoczów
218 Galiński Jan, Radomyśl
219 Augustyan Marya, Łódź
220 Sznicki Klemens, Piotrków
221 Bajor Tomasz, Gorlice
222 Kallon Karol, Sambor
223 Krajewski Kazimierz, Wadowice
224 Osika Leopold, Modlin
225 Garlicki Wacław, Lublin
226 Zawada Michał, Orlów
227 Łysiecki Konrad, Sandomierz
228 Batko Karol, Tarnów
229 Swirski Juliusz, Ostrów
230 Tyniecki Konrad, Warszawa
231 Lewicki Aleksander, Lwów
232 Rupliński Hipolit, Poznań
233 Sołecki Michał, Jaworów
234 Pilch Stanisław, Kraków
235 Simeryn Bronisław Bokowa
236 Janicki Franciszek, Tarnów
237 Wierzejski Jan, Zakopane
238 Horwad Zdzisław, Lwów
239 Dębski Eustachy, Częstochowa
240 Wilczek Marya, Kraków
241 Kijkowski Gabryel, Rakowice
242 Zielonka Klementyn, Lwów
243 Ullman Stanisław, Dębica
244 Łempicki Jan, Lwów
245 Polkowski Henryk, Warszawa
246 Orłowicz Zygmunt, Warszawa
247 Roznowski Hugo, Przemyśl
248 Bożowski Jan, Lwów
249 Włodek Seweryn, Lwów
250 Rożycki Bolesław, Sambor
251 Markowski Antoni, Goniądz
252 Altenberg Karol, Oświęcim
253 Korlii Marya, Brody
254 Piwocki Stefan, Tornń
255 Pomeranz Jakób, Stanisławów
256 Kalb Marya, Kraków
257 Iglicki Jakób, Warszawa
258 Rogowski Leon, Stanisławów
259 Kondys Wanda, Lwów
260 Berger Klara, Andrychów
261 Dunikowski, Samek, Warszawa
262 Stanisławczuk Ludwik, Łódź
263 Lenczewski Roman, Przeworsk
264 Tokarski Joachim, Kołomyja
265 Sadowski Jan, Budapeszt
266 Reyman Michał, Jodłów
267 Peters Leon, Kraków
268 Bielas Michał, Krosno.
269 Cieplik Henryk, Tarnopol
270 Wasyl Maryan, Lwów
271 Gorczyczyński, I. dyw. Legionów
272 Zachęta Teodor, Warszawa
273 Królicki Jan, Jasło
274 Korytowski Medard, Rzeszów
275 Wisłocki Henryk, Warszawa
276 Jabłoński Leon, Kraków
277 Nowak Klara, Wadowice
278 Łasica Stefan, Tarnów
279 Chrastof Maryan, Warszawa
280 Molnicki Józef, Rzeszów
281 Kostrzycki Tadeusz, Poznań
282 Skrzyński Stefan, Bydgoszcz
283 Piwnicki Jan, Chrzanów
284 Szarnwola Mateusz, Kołomyja
285 Walter Jan Kraków
286 Zamorski Władysław, Warszawa
287 Tomaszewski Jan, Wadowice
288 Staszczyk Zofia, Bełzec
289 Marek Leopold, Lwów
290 Dułyński Stanisław, Płock
291 Zegartowska Marya, Wadowice
292 Guzik Władysław, Rudnik

UWAGA! Gdyby ktoś z P. T. nadsyłających rozwiązania „WIELKIEJ SZARADY“ został przypadkowo w zakończonym już spisie nazwisk pominięty, raczy o tem zawiadomić Redakcyę, celem ewentualnego dodatkowego wpisania.

Termin reklamacyi upływa z dniem 31 grudnia b. r., poczem w następnym numerze z dnia 8 stycznia 1921 ogłosimy wynik losowania.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf geograficzny.

Ułożył B G., raków.

Kwadraty i kreski zastąp'ć literami aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. L'tery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, ntworz nazwy dwu miast, o których się obecnie wiele u nas mówi:

■ — — ■
■ — — — — ■
■ — — ■
■ — — — — ■
■ — — — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Okresczasu, 2. Rzeka we Włoszech, 3. miasto w Małopolsce, 4. Znany podróżnik, 5. Rzeka w Ameryce.

Logogryf spirytystyczny.

Ułożył M. D., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. Pierwszy rząd pionowy, czytamy z góry na dół, poda nazwisko warszawskieg medyum, ostatni, w odwrotnym kierunku, efekt jego poszukiwań w Krakowie:

■ — — — — ■
■ — ■
■ — ■
■ — — — ■
■ — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Bohater jednej z powieści w „Nowościach Ilustr.", 2. Kanton Szwajcarski, 3. Choroba oczu, 4. Miasto na Morawach, 5. Staropolska zabawa.

Okienko.

Ułożył J. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	a	a	a
b		k		k
k	k	k	ł	ł
o		o		o
o	ó	ó	s	s

Znaczenie wyrazów: 1 Bohater polski z czasów walk o niepodległość, 2. Ptak drapieżny, 3. Rzeka w Europie wschodniej.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M Kucharski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy ntworzy nazwę miasta polskiego:

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Miejscowość niedaleko Gdańska, 3. Litera grecka, 4. Postać biblijna, 5. Miara powierzchni, 6. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter nłożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, e,
e, e, e, l,
l, m, m, m,
o, o, t, t.

Znaczenie wyrazów: 1. Wulkan w Europie, 2. Pieniądz chiński, 3. Bohater jednej z powieści J. Vernego, 4. Roślina lekarska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył M. Olszewski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego ministra:

— ela
— oga
— gon
— yna
— ela
— oło
— gar
— oda
— ala
— ana
— ran

Przysłowiówka.

Ułożył Meteorolog z Krakowa.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

- - ię - a - a - - a - a - o - o - - ie, - o - e - a - o - - e - ie - o - e - - ie.

Zadanie literackie.

Ułożył J. Nowicki, Sambor.

Do jednego wiersza dodać następny i wykazać, z którego jest wyjęty poematu:

„Dość, że ważny, i że stempel na nim widzi..."

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 H. Sienkiewicza „Listy z Ameryki" (2 tomy), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 49.

Logogryf: S, oko, barka, Iza, e, Ito, atula, Pasek, Oka, ł.

Zadanie do uzupełnienia: Kola. Lena emir, mara, epir, noga, Sola, I an, Ezaw, wola, Igor, eyna, Zola.

Okienko: oran rebus, Nosal.

Zagadka literacka: Grażyna, Resurrectnri, Anhelli, Błyszczące nędze, Sonety krymskie, Kirgiz, I ydion.

Trójkąt magiczny: Renner, Egipt, Numa, N e, Eu, r.

Kwadrat magiczny: Metz, Ebro, trul, Zola.

Łamigłówka: Brak ch'eba.

Figielek: Ewa — Iwa.

Przysłowiówka: 1) Czas to pieniądz, 2) Szkoda czasu i atłasu.

Kryształówka: G, era, brama, **Grabski.** Pasek, oko, ł.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Kozłowski Sambor, M. Ostr wska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, S. Cichocki Jasło. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Mi'ówka, S. Zabawski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów, M Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. amocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Krak w, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J Martynowicz Kielce, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, F. Kajfasz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, J. Ogrodnik Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Malinowska Rzeczyce (książka), 2) J. Jabłoński Lublin (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 2 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.